

OSOBLIWA UTARCZKA Z EGZYSTENCJALIZMEM

("Archipelag Lenoir" Armada Salacrou w Miejskim Starym Teatrze).

Wiele się mówi ostatnio o egzystencjalizmie. Wiadomo ogólnie, że egzystencjalizm przeciwstawia się wszelkim ustalonym normom społecznym oraz moralnym i dlatego należy go uznać za filozofię niebezpieczną i szkodliwą. Droga skomplikowanej dyalektyki doszli egzystencjaliści do ponurych wniosków, że człowiek, zawieszony w próżni, pomiędzy tym co było, a tym co będzie, wtłoczony pomiędzy rozmaite układy środowiskowe, które wywierają na niego nacisk, nie ma żadnej moralności. Życie jest absurdem. Wszelka twórczość czyn, idea, to tylko narkotyk. Człowiek ma sam siebie, by nie oszaleć. Marna ludzka „egzystencja” posiada bowiem świadomość.

Oto, pobieżny skrót — nie samej filozofii egzystencjalistycznej, jest ona nader skomplikowana, rozbudowana i dzieli się na rozmaite odnogi — ale serii ostatecznych wniosków, które z tej filozofii można wyprowadzić. Egzystencjalizm jest wytworem wyrażonej, ale równocześnie i zdegenerowanej kultury intelektualnej. Jest „filozofią rozpacz”. W umyśle ludzi, nie posiadających zdecydowanego kośca, może wywołać prawdziwe spustoszenie. Egzystencjalizm nie jest zresztą tak zupełnie nowym wynalazkiem. Korzeniami swoimi tkwi w relatywizmie filozoficznym. Stąd zaczerpnęli egzystencjaliści pojęcie czasu, jako czynnika, kształtującego rzeczywistość. Od relatywistów wywodzi się również pogląd na względność ludzkiego charakteru, ciągłą zmienność osobowości człowieka w czasie i układach środowiskowych, przeświadczenie, iż ludzie w stosunku do siebie są zupełnie obcy, że nikt nikogo nie zna i nie może poznać. Pierwsi zaś egzystencjalistami na świecie byli chyba sofisci greccy, którzy rzeczowo udowadniali, że nic właściwie naprawdę nie istnieje.

Ojczyzną egzystencjalizmu jest Francja. Jednak już we Francji zaznaczył się zdrowy sprzeciw przeciwko tej modnej filozofii. W dramacie tego rodzaju postawę zajmują przede wszystkim Camus i Salacrou. Teatr Łódzki wystawił niedawno świetną sztukę Salacrou „Noc gniewu” („Les nuits de colere”), osnutą na podobnej tematyce, jak „Dom pod Oświęcimiem” Tadeusza Hołuj. W kategoriach sposobu, daleko silniej, niż polski autor, przeciwstawiał tutaj Salacrou dwa różne światopoglądy: postawę heroiczną z jednej strony, postawę człowieka podłego i słabego tchórza, z drugiej. Sztuka jest niesamowita i ponura. Widz wychodzi jednak z ugruntowanym przeświadczeniem, że istnieje siła charakteru, wola i piękno moralne, które się potrafi przeciwstawić największemu nawet barbarzyństwu i przemocy.

Najnowsza sztuka Salacrou „Archipelag Lenoir”, wystawiona ostatnio w Starym Teatrze, sprawiła nam natomiast pewną niespodziankę. Niespodzianka ta nie dotyczy wartości sztuki. Jest ona napisana świetnie. To jedna z najlepszych sztuk, jakie widzieliśmy w Polsce po wojnie. Kompozycję ma oryginalną, kapitalne napięcie dramatyczne aż do niespodziewanego zakończenia. Dialog toczy się żywo, postaci, tworzące galerię zabawne zróżniczkowanych typów, zarysowane są plastycznie. Autor z typową francuską lekkością i zręcznością sceniczną łączy ze sobą kontrasty — makabryczność z groteską, dramat z farsą.

O cóż jednak tutaj właściwie chodzi? Głównym bohaterem sztuki jest bogaty fabrykant likieru Paweł Lenoir, człowiek ogólnie znany i szanowany, który w siedemdziesiątym trzecim roku życia zgwałcił nieletnią dziewczynę. Widmo sądu, wyroku skazującego, hańby i szkody w interesach, skupiło przy nim przedstawicieli licznej rodziny, która uchwalila, iż jednym wyjściem z trudnej sytuacji jest — śmierć starego. Ten jednak nie zamiera umierać. Nie chce popełnić samobójstwa. Zięciowi, który był już gotów go zastrzelić, wyrwa rewolwer. Następuje szamotanina w półmroku, pada strzał.

I tutaj zaczyna się tragifarsa. Obyd-

waj są przekonani, że jeden zabił drugiego, tymczasem żaden z nich nie zginął. Po serii groteskowych qui pro quo sytuację wyjaśnia — lokaj. Człowiek ten sprzątnął w nocy ze świata ojca zgwałconej dziewczyny, groźnego świadka oskarżenia. Teraz z dziewczyną się ożeni i za cenę miliona franków i dobrej posady zatuszuje całą aferę. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że wszystkich tutaj dzieje się na zimno; śmiercią — poza osobami bezpośrednio zainteresowanymi, nikt się zbytnio nie przejmując. Cynizm i amoralność bohaterów pobija wszystkie rekordy. Jedyny przedstawiciel ludu w tym zgangrenowanym archipelagu burżuazji, tak dobrze się przystosował do otoczenia, że okazał się największym cynikiem i łajdakem z całego towarzystwa.

Jakąż jednak postawę wobec tego wszystkiego zajmuje autor. Niełatwo na to odpowiedzieć. Autor stoi na boku i obserwuje. Wydaje się chwilami, że bawi się po prostu amoralnością swoich bohaterów i ich przygodami. Nie ma w sztuce postaci pozytywnej. Pewne ludzkie przebliski możemy tylko zauważyć we wnucce starego Lenoira, która chce być „wyspą ruchomą” i odpłynąć od archipelagu Lenoir. Niemniej jednak i ona wykazuje typowe cechy rodzinne i środowiskowe. Podtytuł „Archipelagu” — „nie należy tykać rzeczy niewzruszalnych”, jest ironiczny i też nam niewiele tłumaczy. W sztuce zbyt dużo mówi się na tematy filozoficzne, by mogła być uznana za satyrę na rozkładającą się klasę wielkomieszczańską i arystokrację. Jeżeli Salacrou chciał przeprowadzić rozprawę z egzystencjalizmem, to rozprawa ta wypadła dość osobliwie. Zobaczyliśmy właściwie nowego Sartre’a, tylko że bardziej na wesoło. Faktu tego bynajmniej nie zmienia to, że Salacrou wprowadził do sztuki postaci, która ma skompromitować filozofię egzystencjalistyczną. Jest to książę rumuński Borescu, zwany „Bobo”, który wygłasza tego rodzaju sentencje, że nic się właściwie nie dzieje, że nikt na prawdę nie istnieje, że życie jest śmiercią, itd. Wobec tego, co się w sferze moralnej sztuki rozgrywa, podobna satyra na egzystencjalizm nie zmienia zasadniczego wydźwięku. Zwłaszcza w przedstawieniu krakowskim. Wacław Nowakowski nie potraktował postaci księcia karykaturalnie, lecz zagrał go całkiem serio, obdarzając go na dodatek swymi doskonałymi warunkami zewnętrzными i imponującym głosem. Ale to już sprawa reżyserii. Krystyna Zelwerowicz włożyła wiele pracy w przygotowanie tego widowiska. Akcja miała dobre tempo. Przedstawicieli rodziny Lenoir brakło jednak wielkoświatowego stylu, a ich dialogom francuskiej lekkości.

Innego rodzaju niespodziankę, niż Salacrou, sprawił widzom Antoni Fertner, jako dziadek Lenoir. Docenialiśmy zawsze w pełni siłę komiczną tego symptomatycznego artysty. Tym razem zdemonstrował on jednak również szeroką skalę ekspresji dramatycznej, poczucie stylu, finezję w prowadzeniu dialogu. To bez wątpienia najlepsza rola Fertnera po wojnie. Mieczysława Cwiklińska nie miała tym razem szerszego pola do popisu. Niemniej jednak, np. w scenie lekkiego podniecenia likierem Lenoir była prze zabawna. Z innych wykonawców poszczególnych ról w „Archipelagu” — Włodzimierz Macherski, Eugeniusz Solarski, Maria Bednarska, jak zwykle, niezawodni. Maria Gella stanowczo przerysowana, nie zagrała postaci z tej właśnie sztuki. Ale to już znowu zagadnienie ujęcia reżyserskiego. Kazimierz Meres objawił uzdolnienie charakterystyczne.

W pozostałych rolach wystąpili Halina Mikołajska, Mieczysław Jabłoński i Jerzy Rakowiecki. Dekoracje Mariana Eilego składały się z interesujących pod względem kolorystycznym i kompozycyjnym, a przy tym dowcipnych fragmentów. Nie tworzyły jednak harmonijnej całości, rozpraszały nieco uwagę widza, nie współgrały dostatecznie ze sztuką. Przekład Marii Serkowskiej — poprawny.

Zygmunt Leśnodorski